Rok XVII. Luty i marzec 1893. Nr. 2 i 3.



Wychodzi we Lwowie z końcem każdego miesiąca Wkładka roczna z prenumeratą wynosi 1 zł. 20 ct. Dla nauczycieli pow. i uczniów tylko 70 cent. z przesyłką 82 ct.

MIESIĘCZNIK
galicyjskiego
TOWARZYSTWA OCHRONY ZWIERZĄT.

Administracya i ekspedycya we Lwowie ulica Batorego liczba 36, dokąd też wszystkie przesyłki wkładki i prenumeraty adresować należy.

Redaktor: Dr. Józef Limbach.

ODEZWA.

Szanownych Członków upraszamy uprzejmie:

a) o wczesne odnowienie wkładki na rok 1893;

b) o zyskiwanie nowych członków;

c) o rozszerzanie Miesięcznika i zawartych w nim wiadomości;

d) o nadsyłanie spostrzeżeń, uwag i wiadomości, przydatnych do Miesięcznika;

e) w wypadku dostrzeżenia dręczeń zwierząt i przestępstw ustaw i rozporządzeń, tyczących się ochrony zwierząt, o zawiadomienie sekretarza korespondentką, lub listem, oznaczając dokładnie czas, miejsce i inne okoliczności.

Szanowni Członkowie, chcący brać udział w posiedzeniach Wydziału, raczą zawiadomić o tem sekretarza, który każdemu korespondentką donosić będzie czas i miejsce każdego posiedzenia.

Wszelkie korespondencye prosimy przesyłać pod adresem: *Dr. Józef Limbach, Lwów, ul. Batorego l. 36.*, przesyłki zaś pieniężne pod adresem: *Adolf Mussil, ul. Karola Ludwika l. 7.*

Gniazdko sikorki*)

przez

Dra J. Limbacha.

Oj sikorko, sikoreczko,
uściel gniazdko żydóweczko,
w dziupli na starej jabłoni;
tutaj nikt cię nie wygoni.

Oj, sikorko, sikoreczko,
ty kłótnieo, figlareczko,
ścielże sobie gniazdko w borze,
niech ci Pan Bóg dnpomoże,

Z ust ludu.

W kąciku małego wiejskiego ogródka, wśród gęstych krzaków agrestu, koło niskiej, rozłożystej jabłoni znajdowało się w głębokiej rozpadlinie starego muru małe gniazdeczko, owoc kilkunastodniowej pracy pary sikorek. Utkane szczelnie z włosów, wełny i mchu, przeplatane misternie ździebełkami słomy, puchem wysłane gniazdko obejmowało skarb lubych ptasząt, bo cztery małe jajeczka. Z dumą siedziała na nich samiczka, chroniąc je od zimna i oczekując z niecierpliwością chwili, kiedy pisklęta wykłują się z nich, a ona uwolniona od ustawicznego siedzenia wyprostuje znów swe nóżki, zatrzepoce skrzydełkami i do nowej pracy się zabierze, by wraz ze samczykiem karmić głodne gardziołki. Chwile nudnego siedzenia uprzyjemniał jej tenże, ile mu tylko sił starczyło; to siedząc na pobliskiej gałązce świergotał, jakby chciał swej samiczce opowiedzieć, co to się dzieje w ogródku i sąsiednim lasku, którego ona już od dłuższego czasu nie widziała, ile tam nowych gniazdek przybyło, a ile w dawniejszych wykłuło się piskląt, jak mu to dzisiaj stara, brzydka ropucha niemałego strachu napędziła, gdy goniąc za uciekającą muszką, wleciał pod krzak i oko w oko spotkał się z tym strasznym potworem, w którego obszernej paszczy właśnie co goniona zdobycz utonęła — to znowu odlatywał, by wkrótce powrócić, przynosząc w dzióbku szamocącą się gąsienicę, jako smaczny kąsek dla zgłodniałej towarzyszki.

Tak upływał im dzień za dniem jednakowo i zbliżył się czas, w którym dwie pary sikorząt miały powitać świat Boży. Dnia tego, skoro tylko pierwszy promyk słońca pokazał się na liściach, zbudził się ze snu samczyk, zatrzepotał drobnymi skrzydełkami, by otrząść się z rosy i zaświergotawszy wesoło, fur-

*) Z „Opiekuna zwierząt".

knął na pobliską gałązkę, stamtąd na krzaczek agrestu i wkrótce znikł z oczu swej towarzyszki, która dalej cierpliwie na jajkach siedziała. Słońce powoli wznosiło się do góry; wszystko naokoło sikorki budziło się do życia; coraz głośniejszym stawał się świergot ptaszków i brzęk muszek, tańczących w promieniach słonecznych, a zdala dolatywały jej głosy wieśniaków pracujących w polu. Czarnymi swymi oczkami z ciekawością patrzyła sikorka przez otwór w ścianie gniazdka przed siebie, ścigając wzrokiem przelatujące od czasu do czasu inne sikorki, śledząc, czy też nie odkryje między nimi swego samczyka, czekając rychło on się pojawi, niosąc w dzióbku jakąś muszkę, by jej głód zaspokoić. Lecz niestety — jakoś dzisiaj zapóźniał się jej towarzysz, godzina za godziną mijała, a on się nie zjawiał. Sikorce tak długim wydawał się ten czas czekania, tak chętnie byłaby złowiła sobie muszkę, która jak na złość głodnej sikorce, siedziała na pobliskim listku i wygrzewała się na słońcu. Ale sikorka była troskliwą matką, czuła ona poruszenia piskląt w skorupkach jajek i nie chciała opuszczać ani na chwilę gniazdeczka, chociaż jej głód coraz bardziej doskwierał.

Tymczasem słońce wznosiło się wyżej na niebie, a wysyłane przez nie na ziemię promyczki dochodziły wszędzie, wciskały się popod najbardziej ukryte listeczki, przynosząc ze sobą światło i ciepło, odkryły one nareszcie i biedną sikoreczkę, samotnie siedzącą w ciemnem gniazdeczku, ukąpały ją w potokach światła, ogrzały zziębnięte członki; zaraz nowa otucha w nią wstąpiła, znowu oczka jej małe błysnęły nadzieją i patrzyły w dal, czy też nie zoczą powracającego, a uszko chciwie łapało każdy szmer i szelest. Biedaczka daremnie czeka, daremnie się spodziewa; nie ujrzy już ona swego wiernego towarzysza.

Wesoło wyleciał on zrana z gniazdeczka, by pobujać swobodnie w rannem powietrzu, poświergotać ze sąsiadami, a potem złowić sobie jakąś muszkę, ćmę lub gąsieniczkę. Jak zwyczajnie, tak i dzisiaj zbliżył się pełen zaufania aż do samego domku stojącego w ogródku, którego białe ściany wyglądały tu i owdzie z pod pokrywających go liści winnej latorośli, pnącej się na porozstawianych żerdziach coraz wyżej aż do dachu, a niektóre młode, ciekawsze gałązki aż po za strzechę wystawiały swe główki, jakby chciały z tej wyżyny więcej świata zobaczyć. Lubiał nasz samczyk do tego winogradu przylatywać, między gałązkami siadać i czatować na muchy, które otwarte

okno pokoju wabiło. W oknie siadywał zwyczajnie staruszek, siwy, spokojny; znać on już musiał wszystkie ptaszki swego ogródka, bo widział nasz samczyk, jak się uśmiechał do ptaszków, jak sypał im na deszczułeczkę przed oknem ziarnka, na które wróbelki z wielką zuchwałością się rzucały i świergocąc, krzycząc, bijąc się skrzydełkami, walczyły o lepsze ziarneczka, a zuchwalsze siadywały nawet na same okno, jakby chciały staruszka zachęcić, by ich za tę poufałość nową żywnością wynagrodził.

I dziś okno było otwarte, lecz pusta deszczułeczka, ani ziarnek, ani wróbelków nie było; zapewne poleciały one na podwórko między kury, by i tam pochwycić przy sposobności jakie ziarnko, a ziarnka tam były dobre, bo hojna ręka gospodyni rzucała ładną pszeniczkę między swe czubate kury; warto więc było za taki smaczny kąsek wróbelkowi narazić się na to, że zagniewana kura dzióbem od czasu do czasu zamierzała się na nieproszonych gości, lecz wróbelek z jednej strony odpędzony, wracał z drugiej tak długo, dopóki nie uzyskał tego, czego pragnął.

Lecz wróćmy do naszego samczyka. Pusta deszczułeczka przed oknem nęciła go.

„Siądę raz i popatrzę w okienko, jak to tam w środku wygląda“, pomyślał sobie, zleciał z gałązki i usiadł na deszczułce. Czarne oczęta z ciekawością popatrzyły do pokoju; nie było tam staruszka, przy stoliku tylko siedział jakiś chłopczyk, a porozrzucane książki i ubrania świadczyły wyraźnie, że to na wakacye z miasta uczeń powrócił. Nie wiedział o tem samczyk, bo jakżeby sikorki coś takiego wiedzieć mogły; wróbelki co innego, to ptaszki, które z człowiekiem zawsze żyjąc, o niejednej czynności jego nabrały doskonałego wyobrażenia i dziś zapewne wyśledziły nowego gościa, a nie znając go, wolały polecieć między kury na pewne pożywienie, niż czekać tu może nadaremnie. Lecz o tem nic nie wiedział samczyk, patrzył ciekawie, jak chłopczyna, którego uwagę szelestem skrzydełek na siebie zwrócił, powoli wstał z krzesła i na palcach, by ptaszka nie spłoszyć, poszedł do kuferka. „Zapewne mi coś do jedzenia rzuci“, pomyślała sobie ptaszyna. A chłopczyk tymczasem wydobył z kuferka drewniane widełki, zmierzył do sikorki, a kamyczek pewną ręką z procy wyrzucony, furknął przez powietrze i ugodził w główkę niczego złego nie spodziewającej się sikorki.

Z roztrzaskaną czaszką padła ptaszyna bez życia z deszczułeczki na ziemię; tylko kilka kropel krwi świadczyło, że tu przed chwilą biło życie. Z radością podskoczył chłopczyk do okna, popatrzył na sikorkę bez życia leżącą i zawołał: „A to celnie trafiłem, padła na miejscu, ani nóżką nie drgnęła, o! ja wiem, że moja proca tak celna, jak strzała indyanina; niejeden ptaszek popamięta moję bytność tutaj". Z dumą powrócił chłopczyk do stolika i zasiadł do przerwanej lektury: „O przygodach między dzikimi Indyanami" i wnet zapomniał o wszystkiem, zapomniał, że złośliwą ręką zniszczył życie istocie, która tak jak on miała pewne prawa do życia. A teraz leżał biedny samczyk bez życia w trawie, przed chwilą pełen ruchu, swobody, wesołości, teraz martwy, skostniały; oko powieką zakryte nie widziało więcej tańczących w powietrzu muszek; z dzióbka otwartego, z którego niedawno świergot wesoły się wydobywał, sączyła się kroplami krew i zastygała na zielonych listkach trawy, a on zapomniany leżał.

A nawet tam w gniazdeczku zapomniano na chwilę o samczyku, bo tam teraz samiczka siedziała na brzegu otworu, prowadzącego do gniazdka i oczyma pełnemi miłości macierzyńskiej patrzała, jak jej pisklęta jedno po drugiem słabym dzióbkiem przebijały skorupki jajek i powoli oswobodzały się ze swego ciasnego więzienia. Nareszcie ostatnie maleństwo wydobyło się na zewnątrz; wtedy sikorka zabrała się do oczyszczenia gniazdka; grubsze kawałki skorupek zepchnięte pospadały; zrobiło się przestronniej w gniazdku. Pisklęta tuliły się do siebie, różowe ich ciałka, drobnym dopiero puchem pokryte, drżały od zimna, gdyż właśnie w tej chwili kilka listeczków, jakby im zazdrościły promieni słonecznych, pokryło je swym cieniem, a sikorka nie miała czasu ogrzewać je swojem własnem ciepłem, bo zaczęły one wkrótce maleńkie dzióbki otwierać i dopominać się jedzenia. Sikorce także głód dokuczał; musiała więc opuścić gniazdeczko, zostawić pisklęta same i polecieć, by złowić muszki i gąsienice.

Od tej chwili rozpoczęły się dni pracy i troski dla biednej sikorki. Nakarmić samej jednej cztery głodne gardziołki, znaleść trochę czasu, by w pochmurny poranek, albo w bezsłoneczny, dżdżysty dzień ogrzewać swe dzieci, którym tak powoli puch porastał, to rzecz nielada dla małej ptaszyny. A przecież wszystk jakoś szło dobrze, i muszek i gąsieniczek było podostatkiem;

nie potrzebowała daleko odlatywać, a już nieostrożna gąsieniczka była w jej dzióbku, wracała więc szybko, by nią swe pisklęta uraczyć. A ile to było pisku i krzyku, gdy wracała; cztery dzióbki roztwierały naraz, każde chciało pierwej dostać smaczny kąsek, a sikorka nie wiedziała sama, któremu dać, wahała się chwilkę, aż śmielsze i mocniejsze nie wyrwało jej z dzióbka gąsieniczki, ale nim ona znikła, w gardziołku, już inny dzióbek jej drugi koniec chwyta, a wyciągnięta jak struna gąsienica pęka na dwoje i dwom służy za pokarm. Z tem większą natarczywością dopominają się swego drugie dwa pisklęta, a matka musi czemprędzej odlatywać, bo ani na chwilę spokoju jej nie dają.

Tak upłynął tydzień. Już puch żółty zaczął ustępywać pierzu, już skrzydełka powoli wystawały, jeszcze trochę, a cierpliwość sikorki byłaby nagrodzoną, jeszcze trochę, a ptaszęta opuszczą rodzinne gniazdeczko, by na własną rękę rozpocząć życie. Lecz niestety inaczej się stało!

Raz po dniu dżdżystym i zimnym piękny nastąpił poranek.

Sikorka zerwała się z gniazdeczka, by poszukać za żywnością, bo poprzedni dzień mało jej przyniósł zdobyczy, a dzieci już starsze wiele potrzebowały pożywienia. Wcześnie rankiem było; muszki, przejęte zimnem dnia poprzedniego, tylko powoli wylatywały ze swych kryjówek, a sikorka nasza, znużona ciągłem, bezowocnem lataniem, siadła na niskiej gałązce drzewka i bystrym wzrokiem spoglądała wokoło, czy nie zoczy jakiej zdobyczy. Naraz zabrzęczała niedaleko niej muszka, zerwała się sikorka i jak strzała rzuciła się za nią; lecz wtem zawisła w powietrzu, nóżka w coś uwikłana nie dozwoliła dalszego lotu; niebaczna zaczepiła się nóżką o sidła, zdradziecko rozpięte przez chłopczyka na niskiej gałązce. Cienki włosień uszedł jej baczności, a teraz zawieszona jedną nogą w powietrzu szamoce się biedna ptaszyna, zrywa się co chwila do lotu, ale nadaremnie, więcej tylko wciskają się w jej ciało pęta; bezsilna opuszcza skrzydełka, by znowu rozpaczliwie się targnąć, przerwać włosień, ale nic nie pomaga. Inne sikorki i wróble, zwabione jej piszczeniem, przylatują, patrzą na szamocącą się, lecz żadna nie pomoże, bo nie umie, nie wie, bo jakżeby wiedzieć mogły, kiedy w ich małych główkach zamało na to rozumu; niespokojne latają wokoło, widzą, że z jej towarzyszką coś niezwykłego się dzieje, że jej grozi jakieś niebezpieczeństwo, lecz nie wiedzą, jak się wziąć do rzeczy, by ją ratować. I powoli jedna za drugą

odlatują do swoich obowiązków, do swoich piskląt, do swoich gniazdeczek. A nasza biedna sikorka wisi bezsilna na włosieniu; szamotanie daremne wycieńczyło jej siły, główkę na dół zwiesiła, opuściła skrzydełka, skurczyła nóżkę jedną; po drugiej zaś, uwikłanej w sidła, spływa krew, kropelka po kropelce z rany, którą włosień, wciskający się w ciało, utworzył, a z każdą kropelką mniej nadziei ratunku, mniej nadziei życia.

Czy chcecie wiedzieć, co się w główce biednej sikorki działo? A któż może wiedzieć, jakie myśli tłoczyły się jej do głowy, myśli może bezładne, nie tak wyraźne, jak nasze, ale zawsze myśli, ot takie, jakie sikorka mieć może. Może myślała o swych pisklętach, które padną ofiarą głodu, może myślała o swym towarzyszu, który dla niej gdzieś znikł bez wieści, może żal jej było umierać, rozstawać się z tym światem, bo i ptaszek umie ocenić życie tak przyjemne dla każdego; słońce, świeże powietrze, ciepły wietrzyk, zieloność — wszystko to może przesuwało się przed oczyma sikorki. może... — ale któż tam wie, co się działo w biednej jej główce. Wisiała bez ruchu, od czasu do czasu tylko drgnienie przebiegało jej członki, poruszały się skrzydełka, jak gdyby raz jeszcze do lotu zerwać się chciała; później i to ustało, a u włosienia zawisł trup sikorki, którym ciepły wietrzyk wiosenny poruszał.

I znowu psotna ręka nikczemnego chłopca życie niewinnej istoty zniszczyła. Lecz nietylko to życie, przecież od tego życia zawisłe były inne istotki, istotki małe, które dopiero żyć zaczęły. Tam, w kąciku ogródka koło małej jabłoni w gniazdeczku piszczały i kwiliły ptaszęta, czekały na matkę swoję, rychło ona powróci i przyniesie im w dzióbku gąsienicę, jak to nieraz czyniła; ale daremnie na nią czekały. Gdy inna jaka sikorka przelatywała koło gniazda, piszczały głośniej, roztwierały swe dzióbki, ale żadna nie zboczyła do gniazdka; każda miała swoje. I rzucały się biedaki z głodu, próbowały swych skrzydeł niezdolnych do lotu, aż nareszcie gardziel głosu odmówiła, dzióbki bezsilne zamilkły, a śmierć straszna, stokroć straszniejsza od zwykłej, bo śmierć głodowa zabrała swoje ofiary. Ucichło w gniazdeczku, w którem jeszcze wczoraj tak wesołe wrzało życie. Jednego ptaszęcia główka, przewieszona przez brzeg otworu w gniazdku, zdaje się oczekiwać matki, która ich opuściła, drugie pisklę, konwulsyjnie skurczone, strętwiało w środku gniazda, trzeciego nóżki sztywne, wyprostowane ku górze, ku

niebu, ze skurczonymi palcami, zdają się wołać o pomstę. — i cicho w gniazdeczku — tylko duża, zielona gąsienica z czarnym swym łbem wychyla się powoli ponad brzeg gniazdka i pełza dalej wprost przez trupy tych, które miały być jej nieprzyjaciółmi i zwiedziwszy miejsce, gdzie tyle jej towarzyszek poginęło, dąży do pobliskich liści, aby na nich ucztować.

A chłopczyk? — chłopczyk bawi się dalej, niepomny, że zgładził dla swej zabawki sześć istot.

Nikt o tem nie wiedział.

Widział to tylko tam w górze anioł opiekuńczy chłopca i łza błysła w jego oku, bo on patrzył w przyszłość i wiedział, że z małego dręczyciela zwierząt wyrośnie kiedyś dręczyciel ludzi.

Ochrona zwierząt w starożytności

według artykułu G. F.*)

zestawił

Dr. Limbach.

Niedawne to są czasy, jak ludzie, widząc, że to, czemu jeden człowiek podołać nie może, łatwo zespolonemi siłami się osiąga, zaczęli do dopięcia pewnych celów łączyć się w stowarzyszenia. A myśl zakładania Towarzystw ochrony zwierząt skiełkowała dopiero przed 50 laty w Anglii i stąd powoli przedostała się na ląd stały i przyjęła się najpierw w Niemczech i we Francyi i rozszerzyła się po całej Europie. Ochrona zwierząt przed dręczeniem lub niepotrzebnem zabijaniem jest daleko starszą i u starożytnych narodów znachodzimy niejeden dowód, że i wtedy byli ludzie miłosiernego serca, którzy o zwierzęta dbali. Wprawdzie niezawsze miłosierdzie i poczucie sprawiedliwości odgrywało tu rolę, rozstrzygającymi były nieraz inne powody. W starożytności ochraniano niektóre zwierzęta, ponieważ uważano je za święte i sądzono, że za ich znieważenie ciężka kara boża winowajcę spotkać może. Taką wiarę znachodzimy prawie u wszystkich narodów starożytności, tak u Scytów i Etyopów, jak z drugiej strony u Greków i Rzymian. Między wszystkimi narodami zasługują na szczególniejszą wzmiankę Egipcyanie i Indowie.

---

*) W „Wiener Thierschutzkalender“.

Historya uczy nas, że starzy Egipcyanie czcili bardzo wiele zwierząt, zamieszkujących dolinę Nilu. Dadzą się one na dwie kategorye podzielić. Jedne z nich używały wolności, zdobywały sobie same pokarm, a drugie trzymane były przez Egipcyan w osobnych na ten cel przeznaczonych świątyniach i każde z nich, osobliwie większe, miało swego osobnego dozorcę. Urząd ten był dziedziczny, a koszta utrzymania zwierzęcia dostarczało to miasto, w którego obrębie świątynia położoną była. Ciekawym bardzo był wymiar podatku, który na ten cel był wybierany. Oto ojciec rodziny obcinał połowę włosów dzieciom, ważył je i płacił tyle, ile ciężar ich wynosił; z pieniędzy tych dozorca rachunku nie składał.

Do zwierząt, które czczono w całym kraju, należały: byk, krowa, owca, koza, osioł, ibis i kot. Co się tyczy tego ostatniego, to w roztropny sposób starano się zapobiegać zbytecznemu rozmnażaniu tegoż, zostawiając na pastwę żarłoczności rodziców młode kocięta, bo nieraz zdarza się, że kotka musi dobrze ukrywać młode przed napaścią ojca. Mimo tego jednak cześć okazywana kotom była wielka. W czasie pożaru domu pierwszą czynnością mieszkańców było ratowanie kota, a gdy kot przecież w płomieniach śmierć znalazł, wtedy przez dłuższy czas musieli mieszkańcy w żałobie chodzić, goląc sobie połowę głowy.

Świnia, którą uważano za nieczystą, była także w niektórych okolicach czczoną. Kto przypadkowo się jej dotknął, musiał natychmiast w Nilu się obmyć, bo inaczej nie mógł brać udziału w żadnej ofierze. Pasterzami świń byli Egipcyanie, stanowili oni odrębną kastę i mieli swoje własne ofiary, byli oni u innych w wielkiej pogardzie i żenić się mogli tylko między sobą. Żadnemu bożkowi nie wolno było składać ofiary z tego zwierzęcia, tylko Ozyris i Izis byli wyjątkiem, ponieważ każdy Egipcyanin musiał im przynieść w ofierze prosiaka, a gdy kto był tak ubogim, że nie mógł go kupić, wtedy ofiarował figurkę jego z ciasta.

Na delcie były krokodyle w wielkiej czci. Każde miasto miało swego wybranego krokodyla, który był bardzo łaskawym, złote kolczyki i pierścienie zdobiły jego uszy i przednie łapy, żywiony był zaś kosztem miasta. Tak było w dolnym Egipcie, w górnym zaś wcale za świętego nie był uważany, tam nawet polowania na niego urządzano.

Prócz tych zwierząt czczono w różnych miejscowościach jeszcze hippopotama, wydrę, żórawia, a nawet i jednego z owadów, zwanego poświętnikiem *). Jednym z powodów, dlaczego mu boską cześć oddawano, było to, że on ma zwyczaj toczenia kulek mierzwy przed sobą, co kapłani egipscy za symbol powrotu kuli słonecznej z zachodu na wschód uważali. Zresztą jeszcze teraz ma on być u niektórych plemion afrykańskich uważany za świętego, a ten, na którego owad siędzie, jest pod szczególną opieką bogów i zostaje obrany naczelnikiem, nawet wtedy, gdyby jako zbrodniarz na śmierć był skazany.

Gdy kto przypadkowo zabił zwierzę za święte uważane, ten zaraz biegł do arcykapłana, uskarżał się sam i składał, jako karę, pewną sumę pieniężną. Dowiedziono mu jednak, że to zrobił naumyślnie, wtedy nic od kary śmierci nie mogło go wyratować. Zabicie ibisa albo krugulca, który bóstwu Ra był poświęcony, chociaż tylko przypadkowo, lub z nieostrożności popełnione, pociągało za sobą nieochybną karę śmierci.

Ciekawą jest rzeczą, która słusznie nas zadziwić może, że u Egipcyan istniało prawo boże, nakazujące natychmiastowe pochowanie zwierzęcia, jak tylko ono życie skończyło. Koty musiano chować w Bubastis, ibisy w Jernupolis, krugulce w Butto. krowy rzucano do Nilu, a byki grzebano poza miastem, ale tak, żeby rogi sterczały z ziemi. Po roku wykopywano szkielet i przechowywano w domu. Lisy grzebano na miejscu znalezienia.

Jak potrzebny i zbawienny był ten przepis w tak gorącym kraju, jak jest Egipt, nie potrzebujemy dowodzić.

Przechodzimy teraz do drugiej krainy, do Indyi, gdzie daleko więcej zwierząt stało pod opieką praw bożych. Nic dziwnego, fauna indyjska jest daleko liczniejsza, niż egipska, bo tu ogranicza się ona na wąską dolinę Nilu, a tam rozległe równiny, skrapiane tak olbrzymiemi rzekami, jak Ganges i Indus, mogą żywić bardzo dużo zwierząt, a że więcej ich wciągnięto w kult religijny, tłumaczy się religią bramińską ta bowiem polegała głównie na wędrówce dusz, a więc ochrona zwierząt religią była z góry wskazaną. Drugi powód, chociaż także na religii oparty, jest trochę dziwaczny, bo niektóre zwierzęta czczono dlatego, że były podobne do mitycznych osób. Szczególnie od-

---

*) Patrz Nr. 1.

nosi się to do małp. Jedna z nich jest dlatego czczona, że ma czarne nogi, a cały kadłub zresztą brunatny. Podanie mówi, że jeden z jej przodków bardzo gorliwy wyznawca Bramy, za niego w ogień poszedł i popalił sobie nogi.

Co do niektórych zwierząt zresztą rozstrzygała także wielka korzyść, jaką z nich Indowie mieli. Weźmy n. p. sępy. Bez nich życie ludzkie byłoby w Indyach prawie niemożliwe, kraj ten byłby jednem wielkiem gniazdem zarazy. Nie dziwota więc, że od najdawniejszych czasów sprzyjano sępom, że nikt nie poważy się ich nawet dotknąć i że każdy chętnie ustępuje im z drogi, gdy je w mieście spotka. Wytłómaczoną jest gorliwość, z jaką każdy krajowiec staje w obronie tych ptaków, a biada cudzoziemcowi, któryby je znieważył.

Ale z czegoż nie skorzysta złośliwość ludzka, by swemu bliźniemu zaszkodzić? Oto wybitny przykład tego, gdy kto chce swemu sąsiadowi dobrze się przysłużyć, wtedy wyczekuje zbliżenia się pory deszczowej i tuż przed jej rozpoczęciem sypie ukradkiem ziarna kukurudzy na dach jego. W mgnieniu oka odkryją to małpy, których gromady liczne siedzą na murach, drzewach i dachach, zbierają się na dachu sąsiada i raczą się smacznemi ziarnami. Ponieważ jednak wiele ziarnek wpada między dachówki, więc małpy zrywają je, chcąc ziarna dobyć i psują tym sposobem dach. Właściciel przypatruje się temu wszystkiemu ze spokojem, bo religia zakazuje mu spędzać małpy. Gdy nareszcie one dach opuszczą i dozwolą naprawiać, to zwyczajnie już jest zapóźno, pora deszczowa przeszkadza robocie.

Nieraz i Europejczycy muszą wiele cierpieć od tych świętych zwierząt, a broń Boże, wziąć się na seryo do nich, narazić się można na niczem niepohamowaną zemstę krajowców. Nie każdy umie sobie poradzić, jak jeden Anglik, któremu gromada małp w ogrodzie hece wyprawiała, zjadając wszystko, co zjeść się dało, a niszcząc jeszcze więcej. Ażeby raz temu koniec położyć, posmarował on w ogrodzie w oczach małp kilka owoców gęstą cieczą, która była emetykiem zmięszanym z cukrem; wkrótce znaleźli się amatorowie tych owoców, a ponieważ ciecz była słodką, a więc raczyły się tem doskonale, wkrótce jednak zaczęły się pokazywać skutki podanego lekarstwa i rzeczywiście musiał to być komiczny widok, jak małpy, siedząc po murach i drzewach, komicznie bolesne miny robiły, musząc z siebie oddawać to, co za swoją własność uważały.

Zwróćmy się teraz do starej krainy Medów i Persów. Tutaj ułożyły się stosunki między ludźmi a zwierzętami całkiem inaczej, ale i tutaj religia była rozstrzygającą. Jak wiemy, walka dobrego i złego, światła i ciemności miała przedstawiciela w Ormuzdzie i Ahrimanie, jeden i drugi walczył o panowanie nad światem. Wszystko to, co się garnie do światła, zostaje pod opieką Ormuzda, a każda istota lubiąca cienie nocy do Ahrimana należy. Dlatego też i zwierzęta rozpadały się na dwie gromady, według tego, czy były pożyteczne, czy szkodliwe. Pies, osioł, koń, wół, ptaki spiewające, kury, wszystko to należało do królestwa światła, a przeciwnie uciekające od światła szczury, myszy, żmije, salamandry, zwierzęta żyjące ścierwem, szkodliwe owady, robaki, miały w Ahrimanie swego opiekuna. Obowiązkiem każdego gorliwego wyznawcy religii Zoroastra było, zwierzęta te niszczyć, opiekować się tamtymi. Kapłani uważali sobie za zaszczyt jak największą liczbę tych zwierząt zniszczyć. Na pierwszy rzut oka dziwnem się to wydaje, ale nie brak w tem zdrowej myśli. Kraj zamieszkały przez Medów i Persów, to kraj rolniczy, w pierwszym więc rzędzie musiała religia pouczyć rolników, jakie zwierzęta korzyść mu przynoszą, a jakie jako swych nieprzyjaciół ma niszczyć.

Przechodzimy teraz do najznaczniejszych, do najbardziej wykształconych narodów starożytności, do Greków i Rzymian. Jak u wielu narodów Wschodu i Zachodu pewne zwierzęta uważano za święte, jakoby stały pod szczególną opieką bóstw, tak też to samo było i u Greków. Najczęściej powodowała nimi w tym względzie jakaś właściwość im znanego zwierzęcia, która z charakteru i z całej istoty wypływała bez względu na to, czy ona była dobrą, czy nie, by zwierzę poświęcić temu bóstwu, które podobny przymiot miało. Bardzo wpada w oczy to n. p. u Hery; tej dumnej, próżnej, chełpliwej małżonce gromowładcy był poświęcony paw, to uosobnienie próżności. Zeusowi, wszechwiedzącemu władcy wszystkich bogów i ludzi, poświęcali Grecy trafnie orła, tego ptaka, w którym powaga, majestatyczność z wielką bystrością wzroku jest połączona, co zapewne na wszechwiedzę Kronida miało wskazywać. Również trafnie Atenie, bogini sztuki i mądrości, poświęcone były sowy i węże; zwierzęta te bowiem miały dla Greków w sobie coś mądrego, przenikliwego. U sowy wskazuje na to duże, spokojne, myślące oko, a sowa i wąż lubią samotność, tak jak filozof, który ucieka da-

leko od gwaru miasta, by w samotności bez przeszkody duch jego mógł pracować. Zresztą można tu przypomnieć owo zdanie biblijne: „Bądźcie roztropnymi, jako węże...“. Pod szczególną opieką Febusa Apollona, który, jak każdemu wiadomo, codziennie ze swym świetlnym zaprzęgiem po nieboskłonie pędzi, był kogut, głośny zwiastun świtu, a także i kruk, przy którym nie ma innego powodu, jak chyba ten, że często za dnia wznosi się wysoko w powietrze i tak jak Helios wszystko widzi. Jego dziewiczej siostrze, pięknej myśliwej, nie mogło być stosowniejsze zwierzę poświęcone, jak sarna i pies, ciągły towarzysz człowieka na polowaniu. Ona opiekuje się wszystkiemi zwierzętami, a szczególnie rybami w wodzie Aresowi wojowniczemu poświęcony był krwiożerczy wilk, wierny obraz niepohamowanej żądzy walki tego boga wojny; także i dzięcioł był jego ptakiem, jako symbol siły, ponieważ odważa się swym dzióbem atakować olbrzymie drzewa leśne. Szczególną opieką Afrodyty objęty był łabędź, ów wielki, powabny ptak, który tak zgrabnie poruszać się umie, doskonale wybrany, by wskazywał na piękność tej, która z piany powstała, — dalej także gołąb, istota niewinna, symbol spokoju, a szczególniej w stosunkach rodzinnych szczęścia małżeńskiego, — a nareszcie do zwierząt jej poświęconych należy także i zając. Skąd on przychodzi do tego zaszczytu, na to trudno odpowiedzieć. Cóż ma do czynienia nasz poczciwy, ale niezgrabny zając z boginią, która jest we wszystkie powaby młodości uposażona? Trudno znaleść inny powód nad jeden, chociaż nieco dziwaczny. Oto Afrodyta jest tak bojażliwą, jak zając. Na udowodnienie tego można przytoczyć przykład z Iliady, gdzie Afrodyta wprawdzie miesza się w walkę Achajczyków z Trojańczykami, ale draśnięta tylko w rękę, ucieka i jęcząc, szuka schronienia w bezpiecznym Olimpie.

Z tą ochroną zwierząt u Greków zostaje w ścisłym związku obrządek ofiarny. Ofiary spełniano w następujący sposób: Wybierano z trzody zwierzę czyste, bez żadnej skazy, przyprowadzano do ołtarza, gdzie ogień już jasnym płomieniem się palił, wieńczono je, ucinano trochę włosów z nad czoła jego i rzucano do ognia. Teraz zwierzę było już na śmierć przeznaczone i żadna moc na świecie nie mogła go od niej wyratować, chyba musiałby ten wypadek nastąpić, by bóstwo samo ofiarę wstrzymało. Zwracano jego głowę do góry, lub na dół, według tego czy Zeusowi, czy bogom podziemnym ofiara była przeznaczona;

a kapłan szerokim, ostrym nożem przecinał tętnice szyjne, lub pacierz i zwierzę padało zabite u stóp ołtarza. Uważano to za bardzo zły znak, gdy ofiara się jeszcze poruszała, albo nawet nie była śmiertelnie zraniona. Straszny gniew bogów dosięgał niezręcznego, który ofierze męczarń przysporzył. Rozumie się samo przez się, że kapłan uważał, by śmierć odrazu bez boleści sprowadzić. Humanitarną myśl, tkwiącą w takiem zapatrywaniu, każdy łatwo dostrzeże.

Przejdźmy teraz do Rzymian. Musielibyśmy o nich to samo mówić, co o Grekach, gdybyśmy o ochronie zwierząt i stosunku tychże do religii mówić chcieli. To samo odnosi się także i do ofiar. Pominąć jednak nie należy, że w jednym kierunku zboczyli Rzymianie z drogi. Mamy tu na myśli owe igrzyska dzikich zwierząt w cyrkach rzymskich. W czasach upadku rzeczpospolitej coraz bardziej rozpowszechniał się zwyczaj walk lwów, tygrysów i t. p. O Juliuszu Cezarze opowiadają nam, że kazał na arenę 600 lwów wyprowadzić, by lud zabawić. Później patrycyusze brali udział w takich zabawach i urządzali je nawet dla siebie samych wyłącznie, a historya wylicza nam wielu cezarów, którzy także tej manii hołdowali. Nie potrzebujemy dodawać, jak zgubnie na obyczaje ludu takie widowiska działały, a jedną z przyczyn upadku moralnego Rzymian bezwątpienia tutaj szukać należy.

Psy łańcuchowe.

P. Hahn, starszy leśniczy, prezes szlezwickiego Towarzystwa ochrony zwierząt „Cimbria" poruszył w Nr. 1 czasopisma „Zeit. des Verbandes Rheinisch-Westfälischer Th.-Vereine" bardzo szczęśliwą myśl, która w życie wprowadzona uczyniłaby psom łańcuchowym życie znośniejsze. Wiemy, że każde zwierzę stworzone jest do wolności, bez niej dziczeje, lub popada w melancholią, w której ginie. Pies, ten wierny przyjaciel człowieka, który ma strzec jego mienia przed obcą napaścią, ochraniać swego pana od szkody, musi w nagrodę za to przez cały dzień jak średniowieczny zbrodniarz na łańcuchu być przywiązany, a przez to zatraca w zupełności wszystkie swe dobre zalety, które go na szczeblu najwyższym między zwierzętami postawiły.

Usunąć psów łańcuchowych nie można, one w każdem większem gospodarstwie są niezbędnie potrzebne.

Otóż p. Hahn podaje dobry sposób zaradzenia złemu. W każdem podwórzu znajdzie się łatwo kącik, między dwoma n. p. przypierającemi ścianami, gdzie tanim kosztem da się urządzić zagroda, rodzaj klatki, górą otwartej, 3 m. długości, 2 m. szerokości, a 1·5—2 m. wysokości, co dla psa miernej wielkości całkowicie wystarczy. Kilka pali, pionowo wbite w ziemię, kilkanaście krokwi w poprzek, a całość jest gotowa. Bardzo dobrze możnaby użyć do tego celu teraz tak tanią siatkę z drutu każdy, kto kocha swego psa, chętnie taki wydatek uczyni. W takiej klatce pies może się swobodnie poruszać, nie czuje więzów i pędzi nie do pozazdroszczenia wprawdzie, ale zawsze znośne życie.

Jak brzydkim jest widok, gdy pies łańcuchowy szczeka wściekle na przechodnia, wyprężając krótki łańcuch i dusząc się prawie w obróży.

Niech każdy właściciel psa taką zagrodę zbuduje, a z pewnością wypłaci mu się to, bo pies jego będzie zdrowszy, a złe jego przywary znikną.

U nas jeszcze daleko do tego, psy łańcuchowe zostaną długi czas jako złe konieczne. Ażeby zaś przynajmniej częściowo ulżyć ich losu, uważajmy na następujące wskazówki:

1) Spuszczaj psa z łańcucha nietylko w nocy, ale także i we dnie, choćby na krótki czas przy zamkniętem podwórzu.

2) Zakaż surowo wszelkiego drażnienia psa.

3) Uważaj na czystość tak w budzie, jak i koło budy.

4) Dawaj regularnie i obficie zdrowy pokarm i świeżą wodę.

5) Troszcz się sam o swego psa, a nie zostawiaj go opiece drugich.

6) Postaraj się o długi łańcuch i szeroką, wygodną obróżę.

7) Postaraj się o budę wygodną, któraby była rzeczywistem schroniskiem dla psa.

8) Jeżeli tylko jest możliwe, nie zostawiaj w zimie psa na polu na mrozie, lecz postaraj się o umieszczenie go w miejscu ciepłem.

9) Pamiętaj, by pies miał zawsze w budzie świeżą słomę.

Sprawy Towarzystwa.

Dnia 16. kwietnia b. r. odbyło się o 3. godzinie popołudniu w sali ratuszowej Walne Zgromadzenie Galicyjskiego Towarzystwa Ochrony Zwierząt.

Obecnych członków było 32, między tymi 10 pań. Oddział stanisławowski miał delegata w osobie p. Welcmanna. Przewodniczył Zgromadzeniu prezes Towarzystwa, Wielm. Pan Feliks Pławicki. Zagaił on posiedzenie o godzinie $3^1/_2$, poświęcając gorącą wzmiankę ś. p. Feliksowi Lewandowskiemu, długoletniemu Sekretarzowi Towarzystwa. Był to człowiek niezwykłej miary, niezwykłego zamiłowania do zwierząt, był on duszą wszystkiego, narażał się na nieprzyjemności, by tylko naszej sprawie służyć, bo był miłośnikiem z przekonania. Miesięcznik, organ naszego Towarz. redagował świetnie, co mu zjednało szczere uznanie w szerokich kołach, dowodem małym jest pismo z Rohatyna, nadeszłe na ręce p. prezesa, w którem w gorących słowach oddana jest cześć dla zmarłego redaktora. Na prośbę Przewodniczącego Walne Zgrom. przez powstanie oddało cześć zmarłemu. Przewodniczący dał potem głos tymczasowemu zastępcy sekretarza Dr. Limbachowi celem złożenia sprawozdania z czynności Tow. za lata od 1890—3, które na życzenie, wyrażone na Zgromadzeniu umieszcza się tutaj.

Sekretarz wspomniawszy pokrótce o celach Tow. oświadczył, że sprawozdanie z czynności Tow. dla tego jest pobieżne, że nagła śmierć ś. p. Feliksa zastała Tow. nieprzygotowane, a zmarły sekretarz był duszą i filarem jego.

Na ostatnim Walnem Zgromadzeniu wybrany wydział pod światłem kierownictwem, obecnego czcigodnego prezesa wspierany radą, czynem i pilnością ś. p. Feliksa starał się, o ile mu sił starczyło, by sprostać swemu zadaniu i godnie odpowiedzieć zaufaniu, które go na reprezentacyą Tow. powołało.

Że szersze sfery interesowały się Tow. dowodem tego akta Tow., gdzie znajdujemy liczne skargi, zażalenia, doniesienia o nadużyciach pod względem ochrony zwierząt, z któremi to prośbami zwracali się do Wydz. członkowie Tow., a nawet osoby nienależące do niego, pełni zaufania, prosząc o interwencyą.

Godnym zaznaczenia faktem jest przystąpienie do Tow. J. E. P. Namiestnika Badeniego, który przez to dał dowód, że dobro Tow. leży jemu na sercu, że pochwala cele jego, a innym

dobry przykład, by zapisywali się pod nasz sztandar i wspólnemi siłami dążyli do urzeczywistnienia swych celów.

Wydział stosowywał liczne pisma do Magistratu miasta Lwowa, do Dyrekcyi Policyi, Wysokiego Namiestnictwa, bądź donosząc o przekroczeniach ustawy o Ochr. Zwierz., bądź to domagając się wydania rozporządzeń, któreby stan rzeczy zły zmieniły na lepszy. Przyznać należy, że władze chętnie wytaczały śledztwa, karały winowajców i wydawały w wielu razach rozporządzenia, o które Wydział prosił.

Jedną z najważniejszych spraw, któremi się Wydział ostatnimi czasy zajmywał, była sprawa Tramwaju. Zły stan koni tramw. i wzrastające oburzenie publiczności, która wraz częściej do Wydz. się zwracała, zniewoliły Wydział do udania się do Wys. c. k. Namiestn. z prośbą o zarządzenie rewizyi, która rzeczywiście zarządzoną i dnia 2. stycznia 1892 wykonaną została. Do komisyi rewizyjnej weszli p. radca Krzaczkowski, p. Littich, weterynarz krajowy, a z Tow. prezes i sekretarz. Rewizya trwała kilka godzin i była bardzo szczegółowa. Badano stan koni, stajni, składy żywności i karmę dzienną. Po odbyciu rewizyi widział się Wydział zmuszony do przedstawienia wniosków co do wyeliminowania koni, co do stanu stajni, żywności i zaprzęgu. Dyr. policyi po części przyznała nam słuszność, t. j. co do niedostatecznej liczby zaprzęgu w niektórych miejscach i co do używania znarowionych koni, których biciem chciano uczyć porządku.— O ptaszkach w zimie nie zapomniał Wydział, dowodem tego liczne żerowiska, poumieszczane po ogrodach publicznych; pożywienie dla ptaszków zakupywano bądź z funduszów Tow., bądź z datków, które licznie płynęły z różnych stron. Jak zbawiennie dobry przykład działał, można się było przekonać, że często widziano osoby, sypiące ziarna i okruszyny dla ptasząt przed restauracyami, kawiarniami i na placach publicznych.

Za staraniem też Wydziału wyszło rozporządzenie, nakazujące nakrywanie koni dorożkarskich w zimie derkami. Wpływ tego dał się widzieć już tej zimy, gdzie na stacyach dorożkarskich zawsze można było zobaczyć konie nakryte derkami, bo wielu dorożkarzy czyniło to już z własnego popędu, widząc dobroczynny skutek tego.

Ostatnie posiedzenie Wydziału zajęła sprawa zmiany statutu. Po wszechstronnie i gruntownie przeprowadzonej dyskusyi zmieniono dawny statut w niektórych punktach, osobliwie co do

rozdziału czynności sekretarza i skarbnika na dwie osoby, co do Waln. Zgrom. i co do ilości członków wydziału. Tak zmieniony Wydział przedłożony został Waln. Zgromadzeniu. Na tem zakończył sekretarz sprawozdanie, prosząc zgromadzonych do wspierania wybrać się mającego Wydziału i radą i czynem i do zyskiwania nowych członków.

Po przyjęciu do wiadomości sprawozdanie sekretarza, zabrał głos p. Welemann delegat oddziału stanisławowskiego i prosił, by Wydział w stosownej drodze wpłynął na magistrat miasta Stanisławowa, ażeby tenże spraw Towarzystwa po macoszemu, jak dotychczas nie traktował.

Sprawozdanie kasowe, które z porządku dziennego miało być przedstawione, nie mogło przyjść pod obrady, gdyż sprawdzanie rachunków jest w toku i nie mogło być na czas wykończone. Rok 1892 będzie musiał być zamknięty z deficytem kilkuset złr. a ten powstał raz, że wkładki członków nie wpływały regularnie, a powtóre raz że liczba członków zmalala.

Pan prof. Jägermann jako pełnomocnik masy spadkowej po ś. p. Feliksie Lewandowskim oświadczył imieniem wdowy, że ta zapisała Towarzystwu legat w kwocie 200 złr., za który to datek p. prezes złożył serdeczne podziękowanie.

Nastąpiła teraz sprawa zmiany statutu. Przewodniczący udzielił głosu sekretarzowi, a ten odczytał te paragrafy, które miały być zmienione, przyczem wywiązała się dyskusya, w której brali udział pp. prezes, sekretarz, Maresch, Jägermann, Stanowski, Dybowski, Mussil, Bodek i Rewakowicz. Uchwalono następujące zmiany:

§. 2. pod e) dodano: „organem Towarzystwa jest „Miesięcznik galicyjskiego Tow. Ochr. Zw.

§. 3. *Skład Towarzystwa:*

Towarzystwo składa się:

1) z Protektora lub Protektorki,

2) z członków honorowych,

3) z członków zwyczajnych.

a) Protektorem lub protektorką Towarzystwa może być dostojna i wpływowa osoba,

b) członkami honorowymi mogą być osoby, które położyły szczególne zasługi dla ochrony świata zwierzęcego;

c) członkiem zwyczajnym może być każdy, który używa praw obywatelskich i dobrej zażywa sławy, bez wzgiędu na płeć, religię i miejsce pobytu.

Każdy członek otrzyma kartę legitymacyjną, honorowy raz na zawsze, zwyczajny na przeciąg jednego roku.

§. 5. *a)* po słowach „wydziału towarzystwa“ dodano „z gło sem doradczym.“

§. 6. *b)* wnosić wkładkę roczną w wysokości, uchwalonej przez Walne Zgromadzenie i t. d.

§. 7. *Zarząd Towarzystwa.*

a) Sprawami towarzystwa zarządza Wydział, składający się z prezesa, 2 jego zastępców; sekretarza, zastępcy sekretarza, skarbnika, 5 wydziałowych i 5 zastępców, między członkami wydziału mogą być także i panie.

b) Oddziały (§. 4. ustęp 3) wybierają sobie wydział złożony z 3 do 5 członków, uwiadamiając o czynności swojej wydział Towarzystwa głównego i są związane ustawą Towarzystwa i jego uchwałami.

§. 8. *Walne Zgromadzenie.*

a) Walne Zgromadzenia są zwyczajne i nadzwyczajne. Pierwsze mają się odbywać we Lwowie z początkiem roku, najdalej do końca marca każdego roku, nadzwyczajne zaś mogą być zwołane w razie potrzeby każdego czasu. Na życzenie 10 członków z po za grona wydziału ma być zwołane Walne Zgromadzenie. Komplet Walnego Zgromadzenia stanowią ci członkowie czynni, którzy na Zgromadzenie przybyli bez względu na ich liczbę.

b) po słowach „rozwoju Tow.“ dodano: uchwala wysokość wkładki rocznej.

§. 10. Prezes i sekretarz, w razie przeszkody ich zastępcy reprezentują towarzystwo na zewnątrz.

Prezes, w razie przeszkody jego zastępca zwołuje Walne Zgromadzenie, kieruje obradami tegoż jako i posiedzeniami wydziału i przestrzega wykonywania ustawy i uchwał towarzystwa. Prezes wraz z sekretarzem lub ich zastępcy podpisują wszystkie, z Towarzystwa wychodzące pisma.

§. 11. *b)* opuszczono zupełnie.

Nastąpił wybór Wydziału. Do Wydziału weszli:

Prezes: Pławicki Feliks, właściciel dóbr. Zastępcy prezesa: Jan Schneider, em. starszy radca skarb., Dr. Rodecki, emer. dyr,

szkoły realnej. Sekretarz: Dr. Limbach Józef, prof. gimnazyalny. Zastępca sekretarza: Ciszewski Roman, star. naucz. szk. im. Cz. Skarbnik: Mussil Adolf, chemik. Wydziałowi: Dybowski Tadeusz, inż. kol., Maresch Aleksander, starszy kontr. poczt., Rewakowicz Henryk, red. Kurjera lwowsk., Richtmann, właściciel real., Witowska, żona inż. kol. Zastępcy: Andrzejowski, emer. podpółkownik, Stanowski, em. radca nam., Królikowski, prof. weter., Stroh Jakób, bankier, Żebrowski Tadeusz, starszy radca rach. Na wniosek przewodniczącego wybrano do komisyi kontrolującej pp.: Rybowskiego Mikołaja, kierownika szkoły ludowe i Edmunda Riedla, kupca.

Na tem Zgromadzenie o godz. 5 min. 15 zamknięto.

Handel Kanarkami.

Gdy zwrócimy naszą uwagę na wielką ilość kanarków, które znachodzimy na każdym targu ptasim, gdy widzimy, że w każdym prawie domu tego, milutkiego spiewaka spotkać można, to słusznie zapytać się musimy, skąd one się biorą. Faktem jest, że wyspy kanaryjskie nie dostarczają ich wiele i że wychowanie tych ptasząt stanowi ważną gałąź przemysłu niektórych krajów.

Dosyć n. p. przespacerować się w Paryżu po placu koło pałacu sprawiedliwości, gdzie także sprzedają kwiaty, a zadziwi nas ta wielka ilość handlarzy kanarkami, jakoteż tych, którzy mają na sprzedaż klatki, żywność dla kanarków i t. p.

Nie od dzisiaj to kanarki zajęły dominujące stanowisko między spiewakami pokojowymi. Już w roku 1745 wyszła w Paryżu książeczka napisana przez M. Hervieux de Chanteloup. omawiająca sposób wychowania kanarków, uzyskani dobrej rasy i t. d. Autor musiał być zapalonym miłośnikiem kanarków, kiedy nazwę francuzką „serin“ wyprowadza od słowa syrena, twierdząc, że jedyna różnica, jaka zachodzi jest ta, że syreny używały swego głosu, by gubić ludzi, a kanarki, by ich rozerwać i przyjemność im sprawić. Podaje on nawet nuty, by różne melodye kanarków na różnych instrumentach wygrać. Ceny kanarków były w owym czasie dosyć znaczne. Taniemi były popielate, samiczki po franku samce po 3 franki, złocisto-żółte po 12 franków, a całkiem żółte bez żadnej skazy dochodziły wartości 24 franków. Owczesne ka-

narki paryzkie pochodziły przeważnie z Tyrolu i z południowych Niemiec.

I dzisiaj kwitnie handel kanarkami niemieckimi, a przedewszystkiem tyrolskimi. Z początku ograniczał on się do ciasnych granic, powoli zaczęto go rozszerzać, zaczęto je sprzedawać w Anglii, potem dostawały się nawet do Petersburga, a w roku 1850 pojawiły się tyrolskie kanarki na targu nowojorskim, potem w południowej Ameryce, a nawet w Australii.

Główne miejsce chowu kanarków są góry hercyńskie. Przeważnie są to ubodzy ludzie, którzy się tem zajmują. Każda rodzina tam znajdzie jaki kącik, by kilka klatek umieścić. W lecie odbywa się ich wychowanie, a w jesieni sprzedaż.

Przemysł ten kwitnie także u tkaczów w Eichsfeld, w Hanowerze, w Hessyi, w Westfalii, w górach kruszcowych. W całych Niemczech produkują rocznie około 250.000 sztuk, a za sztukę płaci się mniej więcej 3 do 4 marek, a więc prawie 1,000.000 marek zyskują handlarze niemieccy, są oni bardzo rzutni i przedsiębiorczy, dlatego też tak świetne rezultaty osiągają. Zdaje się zresztą, że kanarki niemieckie szczególnie dobrze śpiewają.

Głównem miejscem zbytu kanarków są Stany Zjednoczone, rocznie rozchodzi się tam 100.000 ptaków, drugiem z rzędu miejscem jest Anglia, która kupuje 50.000. Reszta chowu rocznego rozchodzi się w Brazylii, Chili, w rzeczypospotitej argentyńskiej i w Australii. Jak wielka ilość klatek jest rocznie potrzebna, dowodzi jedna fabryka w górach Hercyńskich, która codziennie dostarcza drzewa na 1000 klatek, przez okolicznych wieśniaków sporządzanych.

„La Nature,“ skad tę notatkę czerpiemy dodaje, że dobrą by rzeczą było, by ta gałęź przemysłu i we Francyi zakwitła. To życzenie możnaby i do Galicyi snadnie zastósować. Chów tych ptaszków nie potrzebuje ani znacznych nakładów, ani wiele miejsca, ani wielkiej pracy i całkiem łatwo obok innego głównego zatrudnienia uprawiany być może. Trzeba tylko trochę znajomości życia tych małych ptasząt, trochę zamiłowania do zwierząt, a praktyczna korzyść sama się znajdzie. Gdy dziś wyjść na targ ptasi w Krakowie, lub we Lwowie, to bardzo mało klatek z kanarkami zobaczyć można, ale szczygła, sikorę, trznadla, gila znajdziesz tam nieochybnie, jeżeli nie otwarcie w klatce na sprzedaż wystawionego, to z pewnością ukrytego w kieszeni ło-

buza ze związanemi skrzydełkami, a niestety nawet i ze słowikiem nie rzadko się spotkać możesz. Działanie członków Towarzystwa ma tutaj wdzięczne pole, tylko, że handlarze nauczenie doświadczeniem nie zdradzą, przed znanym sobie członkiem, że spiewaka ukrywają, tu powinni wkraczać członkowie nowi, ci łatwo wykryć mogą więźnia, ukrytego w kieszeni — godzina straconego czasu sowicie się wynadgrodzi błogiem przekonaniem, że naszym polom wróciło się kilka ptasząt, które inaczej w ciasnych klatkach pędziłoby nędznie swój żywot.

Rozmaitości.

Staraniem Wydziału Towarzystwa odprawionem zostało dnia 8. kwietnia w kościele katedralnym

NABOŻEŃSTWO ŻAŁOBNE

za duszę ś. p. **Feliksa Lewandowskiego,** sekretarza naszego Tow. i c. k. adjunkta tabuli krajowej, w którem członkowie Tow. i koledzy zmarłego liczny udział wzięli.

Nekrologia. W 89 roku życia rozstał się z tym światem słynny przyrodnik angielski Ryszard Owen, który godnie może stanąć obok swych ziomków Lyella i Darwina. Położył on wielkie zasługi na polu biologii, do końca swego życia jednak pozostał przeciwnikiem teoryi descendencyi.

Śledzie rosyjskie. Połów śledzi na południowem wybrzeżu wyspy Sachalin jest bardzo obfity. Drogą lądową dostają się one do Rosyi europejskiej. Pomimo olbrzymiego oddalenia są one daleko tańsze, niż w Europie złowione.

Pies wybawcą. Kurjer Warsz. d nosi o następującym wypadku. Panowie K. i K. z Warszawy byli na polowaniu na zające, które kilka godzin trwało. Zmęczeni, nie znalazłszy w pobliżu żadnej zagrody, weźli, by się rozegrzać do jamy, wykopanej na kartofle, która na pół śniegiem była przysypana Zaledwie tam się ukryli, i do śniadania się zabrali, gdy śnieg, wiszący nad wejściem do jamy, spadł i zagrzebał ich żywcem. Nieszczęśliwi pozostawali w tem niemiłem położeniu kilka godzin, bojąc się nawet ruszyć, by całkiem zasypani nie zostali. Wybawcą ich był pies, którego mieli ze sobą na polowaniu. Ten przeczuł, że jego pan jest w niebezpieczeństwie i poleciał, głośno szczekając do mieszkania p. Kownackiego, gdzie myśliwi byli zajechali. Przez swój niepokój zwrócił na siebie pies uwagę gospodarza. Udano się za psem i po całogodzinnej, mozolnej pracy przy pomocy dziesięciu robotników udało się nieszczęśliwych ocalić.

Kradzież psów. „Przyjaciel zwierząt“ donosi, że kradzież psów rozwielmożniła się bardzo w ostatnich czasach w Paryżu Co tydzień ginie do stu psów; z tych wiele bywa wysyłanych do Anglii i do innych krajów, gdzie złodzieje lub ich paserzy, mają stosunki handlowe. Inne znów wracają do swych właścicieli, za bardzo drogim okupem oczywiście. Baron Gustaw Rothschild ma ulubionego pudla, którego mu w roku zeszłym skradziono trzy razy i za każdym razem wracano, za tak wysokim okupem, że pudel ów stał się jednym z najdroższych psów, jakie kiedykolwiek istniały. Większość kradzieży tych spełniana jest rano, kiedy służący prowadzą psy na przechadzkę. Złodzieje potrafią też „przebierać“ psy, zmieniać je do niepoznania, przez strzyżenie i malowanie sierści, a wtedy sprzedają je spokojnie nawet na paryskim psim targu.

Od pewnego czasu policya paryska zauważyła powtarzające się nieomal codziennie w rozmaitych pismach ogłoszenia: „Przybłąkał się pies... (buldog, pinczer, dog. pudel, ceter) taki a taki... Właściciel za zwrotem kosztów ogłoszenia i żywienia może go odebrać. Wiadomość ulica Avenue Clichy 43, mieszkania 12.“ Zaintrygowana temi bezustannemi ogłoszeniami policya postanowiła sprawę tę bliżej zbadać, w tym więc celu dom, w którym można było zasięgać wiadomości o psach przybłędach, otoczyła ścisłą opieką. I oto, co się pokazało: W mieszkaniu oznaczonem numerem 12, złożonem z czterech pokoi i kuchenki, mieszkał były właściciel sklepu bławatnego, Edmund Garnier. Handel mu nie szedł; sklep kilkakrotnie z jednej ulicy przenosił na drugą, wreszcie straciwszy na tem przedsięwzięciu $^{8}/_{10}$ majątku, interes zupełnie zwinął i przeniósł się na cichą uliczkę Av-Clichy. Należało jednak coś przedsięwziąć, aby zapewnić sobie wygodne utrzymanie. Garnier niechętnie garnął się do pracy. Zbyt mu mało pozostało kapitału. aby coś na swe imię otworzyć; postanowił więc z piasku bicz ukręcić. Błąkając się nieraz po ulicach miasta, spotykał często kosztowne nawet psy, wałęsające się samopas. Umyślił więc z tego skorzystać, gdy mu się jaki pies spodobał, póty go wabił ku sobie, aż w końcu, zbałamuciwszy go, przyprowadzał go za sobą do swego mieszkania. Jeśli psina miał na szyi ładną obrożę lub też był przybrany w czaprak to przedmioty te bez żadnej ceremonii zdejmował, poczem robił w pismach ogłoszenia o przybłąkaniu się psa. Przed właścicielami odgrywał rolę amatora psów, nie mogącego patrzeć na zbłąkane zwierzę i z litości zabierającego je do domu. Jeśli zwabiona podstępem sztuka była znacznej wartości, wtedy właściciel z pewnością się znajdował i chętnie płacił przedstawiony sobie rachunek, by tylko odzyskać faworyta, nadrzucając nieraz po kilkanaście i kilkadziesiąt franków czułemu Garnierowi. Gdy się jednak właściciel nie zgłaszał, w takim razie przetrzymawszy czas jakiś psa, puszczał go następnie w kurs, t. j. poprostu — sprzedawał. Z początku chodził sam po mieście i wabił ku sobie psy, ponieważ jednak w ten sposób nie mógł więcej, jak się wyraził przy śledztwie, zarobić jak 15 do 20 franków dziennie, decydował się przeto na powiększenie interesu i przyjął w tym celu kilku agentów, których obo-

wiązkiem było przebiegać w rozmaitych kierunkach ulice Paryża w pogoni za towarem. Wynagradzał ich za trudy odpowiednio do wartości psa, od franka do pięciu za sztukę. W ten więc sposób powiększył prawie dziewięćk·otnie swe dochody, nie narażając swej skóry. W początkach bowiem prowadzenia tego interesu, spotkały go kilkakrotnie niemiłe przygody obicia pleców, w chwili, gdy wabił ku sobie „głupie pieski.“ Niewinny ten interesik wydał się wszakże policyi mocno podejrzanym, prosiła więc ona p. Garniera, aby takowego zaniechał, lecz aby mu nie przyszła przypadkiem ochota kontynuować go dalej, uznała za słuszną rzecz tak owego jegomościa, jak i godnych agentów, zamknąć pod klucz, póki sądy nie zawyrokują, co z nimi dalej począć.

Kalendarz myśliwski.

W kwietniu nie wolno polować: na jelenie, kozły (rogacze), zające, borsuki, lisy, jarząbki, bażanty, kuropatwy, przepiórki i dzikie gołębie; od*) połowy zaś miesiąca na slomki, dropie, p ırdwy, ptactwo błotne i wodne. Z ryb łapać nie wolno: bolenia, lipienia, głowacicy, świnki, wyrozuba, czopa, sandacza — tudzież raka samicy [samca w kwietniu łowić wolno *)].

Cały rok polować nie wolno: na łanie, kozy, cielęta i śpiczaki, na kury głuszczów i cietrzewi, na zwierzęta alpejskie, świstaki i kozice.

Nie wolno bezwarunkowo kiedykolwiekbądź ani sprzedawać, ani w publicznych domach gościnnych podawać następujących gatunków ryb i raków poniżej ustanowionej miary, branej od przodu głowy do końca pletwy ogonowej, a mianowicie:

sandaczów	40	ctm.	pstrągów	20	ctm.
boleni	40	„	lipieni	20	„
głowacic	40	„	świnek	20	„
wyrozubów	40	„	cyrt	20	„
węgorzy	40	„	klonków	20	„
łososiów	30	„	brzanek	16	„
czeczug	30	„	czopów	16	„
brzan	25	„	raków	10	„
jaziów	25	„			

Zakazane jest łowienie zwierzyny na sidła, żelaza, łapki i t. p. przyrządy.

*) Czem prostuje się pomyłka, zaszła w Nr. 1.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie pod zarządem Stan. Baylego.